

Ukraina mojej młodości...

29 sierpnia 2015

Marek Hłasko pisał, że ten co nie oberwał od francuskiego żandarma, ten nie wie, co to znaczy dostać wpierdoł. Mam na ten temat inne zdanie, ponieważ oberwałem od ukraińskiego OMON-u, zanim stał się Berkutem.

Zdarzyło mi się spędzić dwie doby w ukraińskim więzieniu. Zatrzymali mnie pod jakimś lipnym pretekstem, że niby raniłem nożem jakiegoś biednego Ukraińca, co oczywiście było bzdurą. No dobra, drugi zarzut nie był do końca zmyślony: rzeczywiście strzelałem do ukraińskiego autobusu. Ale tylko dlatego, że był to autobus reketu i gdybym się nie bronił, straciłbym nie tylko samochód...

Na początku lat dziewięćdziesiątych przejście graniczne w Dorohusku czynne było tylko od świtu do zmierzchu. Kolejki wyjazdowe z Ukrainy trwały niekiedy do dwóch tygodni. To była świetna okazja, by z kimś pohandlować, lub rąbnąć jakiś samochód, którego właściciel udał się do jedyne go w okolicy sracza. Zarobki, jakie dawał ten proceder, były tak wysokie, że nie sposób było się oprzeć. Za sam przerzut auta przez granicę polsko-ukraińską skoczek – czyli kierowca – dostawał 150 dolarów. A były to głównie łady i tawrie. Więc wracałem na tę granicę, wiedząc, że kiedyś może być nieprzyjemnie. A wiedziałem to, że tak się wyrażę, z osobistej obserwacji.

Początek lat dziewięćdziesiątych to był na Ukrainie bardzo, bardzo dziki zachód. Środkiem płatniczym – czyli pieniędzmi – były kupony. Wyglądały jak bite na kserokopiarce tanie ulotki. Za sto dolarów miałem całą reklamówkę takich ulotek, aż się wysypywały. Stać mnie było na najlepszy hotel w mieście.

Ta historia wydarzyła się w Łucku, w hotelu Ukraina albo Mir, już nie pamiętam. Siedziałem w restauracji i czekałem na zupę, kiedy do środka weszło trzech mężczyzn. Zdecydowanym krokiem

skierowali się w stronę faceta, który siedział w końcu sali i najwyraźniej skończył jedzenie, bo widelec wypadł mu z ręki. Widziałem w swoim życiu wiele brutalnych akcji, ale ta zdecydowanie przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Na koniec jeden z oprawców wyciągnął z kieszeni nóż, chwycił bitego za włosy i zwyczajnie poderżnął mu gardło. Ja wciąż siedziałem z talerzem pełnym zupy. Jakoś straciłem apetyt.

Gdy mordercy wyszli z restauracji, kierownik sali kazał pracownikom zaciągnąć zwłoki na zaplecze i zmyć krew z podłogi. A gościom uprzejmie zakomunikował, że w zasadzie nic nie stało i bardzo prosi, by spokojnie kontynuować posiłek. Nie mogłem wyjść z podziwu.

Zajmowałem się wtedy przemytem samochodów. Zajęcie dochodowe, ale też ryzykowne. Ryzykowne było także przekraczanie granicy z bronią palną, używaliśmy więc czegoś na kształt małych rakietnic. Urządzenie wielkości długopisu, które można powiesić na szyi. Turyści wszelkiej maści byli idealnym celem dla rekietierów. Rozstawione co kilka kilometrów posterunki milicji „GAI” lub „DAI” nie gwarantowały bezpieczeństwa, ponieważ stróże prawa także mieli udział w tym procederze. Tak więc byliśmy zdani na siebie.

Kiedyś zostaliśmy napadnięci przez grupę Ukraińców, którzy próbowali zepchnąć nas z drogi autobusem. To wtedy wystrzeliłem – a ładunek rakietnicy pali się w takiej temperaturze, że pojazd napastników stanął w płomieniach. Pasażerowie autobusu rozpierzchli się na wszystkie stronach świata, a obok nas pojawił się samochód pełen milicjantów z OMON-u.

Poza standardowym oklepaniem gołymi rękami (no, może nie tak bardzo gołymi, mieli bowiem krótkie nahajki, których jednak rzadko używali) przeszli do kolejnego zabiegu. Umieściwszy mnie wygodnie na leżance plecami do góry, zapytali uprzejmie, czy jest mi wygodnie – i wtedy się zaczęło. Dostaliście kiedyś po piętach? Kiedy każdy cios, każde uderzenie dochodzi do

czubka głowy, a potem wraca. Robiłem wszystko, by nie wydać z siebie najmniejszego krzyku, by nie okazać słabości i nie dać im satysfakcji. Po takim kurtuazyjnym powitaniu zawieźli mnie do najbliższego aresztu. Dopełniwszy formalności, strażnik zaprowadził mnie pod celę. Otwiera drzwi, a tam ścisk, człowiek na człowieku. W wejściu od środka leży idealnie rozłożony, czyściutki ręcznik.

Pierwszy odruch normalnego człowieka, to zrobić krok i go ominąć. Na szczęście w ostatniej chwili błysnęło mi, że gdzieś o tym czytałem. Gdybym ominął tę ekskluzywną wycieraczkę, okazałbym im pogardę, a błatny czeławiek (odpowiednik grypsery) pogardy nie podaruje. Z rozmachem więc wytarłem ubłocone obuwie i tak zostałem jednym z nich. Błatniakiem, polskim urkiem. A zgodnie z więziennymi zasadami git gitowi w kryminale bliższy niż brat bratu na wolności.

W więzieniu funkcjonuje takie przysłowie: „fikoł w ciemności nabiera prędkości”. Więc nawet jeśli czujesz się na tyle pewnie, by poradzić sobie w walce z towarzyszami spod celi – miej się na baczności w nocy. Niezależnie od stopnia, w jakim się im narazisz, kara cię nie ominie. Może to być zwykły wpierdol – co jeszcze nie jest najgorsze – wymyślne tortury lub zabójstwo. O ile w polskich kryminałach gwałt jest tylko werbalnym zelżeniem frajera, który złamał zasady i został cwelem – o tyle w pierdłu ukraińskim fizyczne gwałty są na porządku dziennym.

Po interwencji znajomego, który był oficerem milicji, udało się mnie wyciągnąć po dwóch dniach, ale jeszcze przez kilka tygodni miałem kłopoty z chodzeniem przez te obolałe pięty.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Strajk.eu